

Chwasty na wiejskiej glebie

Jak na ekranie jakiegoś mózgu elektronowego pokazują się ustawicznie pulsujące treści matematyczne na wykresy i sygnały, tak na powierzchni naszych dyskusji i rozważań na temat życia kulturalnego i postępującej oświaty wsi nieodmiennie występują rzędy cyfr. „Przed rokiem 39 było na wsi tyle a tyle szkół, a dziś jest tyle.” To samo ze świetlicami, domami kultury, to samo mówimy o wiejskich kinach i bibliotekach.

Cyfr nie pokazują nam jednak oblicze ludzi, których obstawiliśmy nimi, jak bateriami fantastycznych jakichś mikroskopów, sądząc, że ujrzymy przez nie ludzkie wnętrza i postępujące w nich przemiany. Jak względna jest ta pewność nauczylibyśmy się rozpoznawać poświęciwszy choćby rok na przebywanie wśród ludzi wsi, w środowisku wiejskich i mniejszych miasteczek. Zagadnienia wzrostu kultury i oświaty na tym terenie nabrały rozgłosu, otrzymały rangę zagadnień ważnych społecznie i mówi się o nich w gronach znawców, działaczy i specjalistów. A jednak wciąż instytucji kierujących rozwojem kulturalnym wsi z takim zwanym „terenem” nadal jeszcze ogranicza się do studiowania tysięcy sprawozdań rocznie, wypłacania tysięcy delegacji i rozliczania tych samych ilości wyjazdów samochodami służbowymi w celach poznania potrzeb i braków wsi. Cóż z tego, skoro oblicze cyfr zestawianych pieczołowicie w biurach urzędów wszystkich szczebli nie okazuje się tą kryształową kulą, w której faraon Prusa ogląda życie swoich poddanych. Oblicze cyfr jest martwe.

Sprawy boleśnie bliskie

Rolę barometru wskazującego postep duchowy ludzkiej jednostki i środowisk spełnia literatura. To pisarze pochylają się w zadumie lub gniewie nad kartami papieru, by na nich wyrazić protest i rozczarowanie, oburzenie i propozycje środków zaradczych mających poprawić istniejący stan rzeczy w tej trudno uchwytniej, a najistotniejszej sferze życia społecznego. Funkcja poznawcza literatury uzyskuje tu największe nasilenie swojej amplitudy. W wyniku tego tysiące czytelników otrzymują do ręki wzruszające opowieści, spłoty i powikłania wymownych fabuł. Lecz jakże często, na tym się kończy. Na mieszczańskim westchnieniu współczującym lub rozgrzeszającym — to nie moja sprawa, mnie tam nie ma. I dobrze, że mnie tam nie ma. Nie chciałbym żyć w takich warunkach.

Martwe są świetlice

Zmęczony chodzeniem wśród pół, chcemy wieczorem wypocząć. A może rozerwać się? W naszej wsi jest świetlica. Wieści o tym biały napis na czerwonym tle, wklejony w poszczególny tynek walcowego się domu. Dom ma lat sto, a data ostatniego remontu pokrywa się z datą jego powstania. Trudno, GRN nie posiada funduszy, materiału i pozwolenia na remonty. Wszystkie domy są tu stare, walące się i przeciekające. Jest ich niewiele, a mieszkańców dużo. Dwie izby przypadają średnio na trzy rodziny. Młody chłopak czy dziewczyna, powróciwszy z pracy, ucieka z domu, w którym jest ciasno. Dokąd się udadzą? Ob-

Wiesz rzeczywiście i bez reszty żyje w cieniu kościelnej wieży. Czy to źle, czy to dobrze? Nie będziemy tego rozstrzygać. A szkoły? Tradycji staje się zadość. I dziś budynki wielu wiejskich szkół to niskie domki, mieszczące w swoich izbach po kilkanaścioro dzieci, siedzących z otwartymi buziami przed czarnymi tablicami, na których tata, mama, Ala i jej pies czynią to, co rzadko daje się im zaobserwować na własnych podwórkach. Nie posuwamy się jednak zbyt daleko. Psychika dziecka nie jest znowu tak ważna i istotna dla naszej wędrowki. Chyba, chyba że przyjmujemy tę postawę za symbol. Znowu porównanie? Tak. Ludzie wsi w ogromnej większości przedstawiają się jak dzieci pierwszy raz wpuszczone do gmachu nowej szkoły. Szkoły naszego nowego życia. Szkoły naszego nowego życia. Szkoły naszego nowego życia.

Nigdy chyba nie nabędę przekonania do akcji i kampanii, jakie prowadzi się często w obronie czy dla potępienia działalności instytucji kierujących kulturą wsi, jeżeli za nim nieodmiennie będą stały rzędy cyfr i pliki sprawozdań. A literatura milczy. Nad wspólczesną wsią nie pochyla się z głęboką troską Żeromski czy Prus, nie zaglądają do chałup, nie śledzą chłopów przy pracy, nie reagują żywo i sobie tylko właściwymi artystycznie dokumentami na jego dół.

Światło na wieś przepuszcza my przez gesty filtr cyfrowych sprawozdań i statystyk, nie przez pryzmat zaangażowanego uczucia i pasji. Nie do mnie

nałży, by decydować o doraznych posunięciach, zmierzających do zmian w nowym zarządzaniu życiem duchowym wsi. Może z wędrowek boleśnie zainteresowanego tym problemem sprawozdawcy wyniesiemy gorzki uśmiech dezaprobaty, może chwile wzruszenia lub oburzenia.

Udajmy się w podróż.

W cieniu wieży kościelnej

Zatrzymaliśmy się, wysiadłszy z pociągu, który umknął gwizdnawszy przeciągle na rozplaszczony w leku przed jego stukotem pola, i pozostawiliśmy samych na przestrzeni setek metrów kwadratowych? A może kilometrów?

Tu, w tej wiosce, którą wybraliśmy bez dokonywania losowań czy wstępnych wywiadów, ludzi jest niewiele. Dlatego każdy zdąży się każdemu ukłonić, przyrzec mu się uważnie i krytycznie, mijając go na drodze. Nie to, co w mieście, prawda? Tam potok ludzki nie ma czasu na kontrolowanie samego siebie. Tu jest dużo czasu, dużo miejsca i mało ludzi. Nie będzie przypadkiem powieść, że jest ich tylu, iż swobodnie mieszczą się w kręgu cienia rzucanego przez wieżę kościółka, który od bardzo dawna króluje w wiejskim pejzażu.

Wiesz rzeczywiście i bez reszty żyje w cieniu kościelnej wieży. Czy to źle, czy to dobrze? Nie będziemy tego rozstrzygać. A szkoły? Tradycji staje się zadość. I dziś budynki wielu wiejskich szkół to niskie domki, mieszczące w swoich izbach po kilkanaścioro dzieci, siedzących z otwartymi buziami przed czarnymi tablicami, na których tata, mama, Ala i jej pies czynią to, co rzadko daje się im zaobserwować na własnych podwórkach. Nie posuwamy się jednak zbyt daleko. Psychika dziecka nie jest znowu tak ważna i istotna dla naszej wędrowki. Chyba, chyba że przyjmujemy tę postawę za symbol. Znowu porównanie? Tak. Ludzie wsi w ogromnej większości przedstawiają się jak dzieci pierwszy raz wpuszczone do gmachu nowej szkoły. Szkoły naszego nowego życia. Szkoły naszego nowego życia. Szkoły naszego nowego życia.

Martwe są świetlice

Zmęczony chodzeniem wśród pół, chcemy wieczorem wypocząć. A może rozerwać się? W naszej wsi jest świetlica. Wieści o tym biały napis na czerwonym tle, wklejony w poszczególny tynek walcowego się domu. Dom ma lat sto, a data ostatniego remontu pokrywa się z datą jego powstania. Trudno, GRN nie posiada funduszy, materiału i pozwolenia na remonty. Wszystkie domy są tu stare, walące się i przeciekające. Jest ich niewiele, a mieszkańców dużo. Dwie izby przypadają średnio na trzy rodziny. Młody chłopak czy dziewczyna, powróciwszy z pracy, ucieka z domu, w którym jest ciasno. Dokąd się udadzą? Ob-

Światło na wieś przepuszcza my przez gesty filtr cyfrowych sprawozdań i statystyk, nie przez pryzmat zaangażowanego uczucia i pasji. Nie do mnie

INOWY ŚWIAT

Prof. dr Szczepan Szczeniowski

poseł na Sejm RP

Droga otwarta — trzeba działać

Na pierwszy plan wysuwała się tu, cechująca dotychczasową ustawę tendencja do nadmiernej centralizacji w sprawach Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego — czy też, jak w przypadku akademii medycznych — w Ministerstwie Zdrowia. Niezależnie od tego, czy chodziło o sprawy ważne i istotne, czy też o szczegóły, szkoły wyższe musiały się odwoływać do władz centralnych. Z jednej strony na ki stan rzeczy bardzo krępował działalność szkół wyższych, z drugiej — władze centralne, zajmując się zbyt drobiazgowo szczegółami pracy naukowej i dydaktycznej szkół wyższych, gubiły się w szczegółach i nie mogły wskutek tego na-

Nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym i pracowników nauki z dn. 1 października br. zapowiada przełom w życiu naszych szkół wyższych. Na obowiązującej dotychczas ustawie z dn. 15 grudnia 1951 r. wyraźnie zaciążył szereg ujemnych cech minionego okresu, co zwłaszcza ostatnio zaczęło zdecydowanie hamować rozwój szkół wyższych i wpływać niekorzystnie na warunki ich pracy.

leżycie obejmować całości zagadnień i właściwie je oceniać. Ustawa była niewątpliwie zbyt sztywna. Traktowała ona w jednolity sposób uczelnie, ist-

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”

Niedziela, 14 X 1956

Rok VII Numer 40

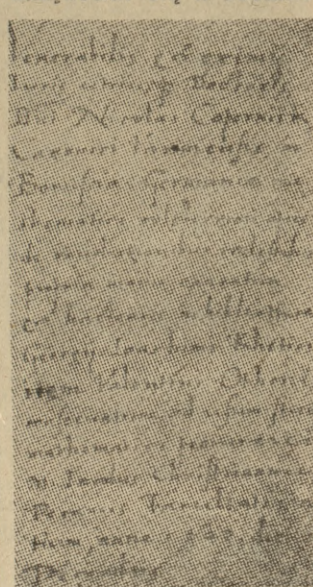
nające od dawna, o wysokokwalifikowanych i rozporządzających do świadczenia naukowym kadrami pracowników naukowych i uczelnie zupełnie młode, świeżo powstałe, o niekierujących i niedoświadczonych kadrami. Traktowała ona jednakowo uniwersytety o bardzo szerokim zakresie różnorodnych kierunków studiów — i uczelnie takie, jak np. wyższe szkoły ekonomiczne, obejmujące jeden właściwie kierunek studiów; uczelnie o kierunku bardziej teoretycznym i uczelnie o kierunku praktycznym, jak np. politechniki czy wyższe szkoły rolnicze. Ta jednolitość w stosunku do uniwersytetów w porównaniu z innymi wyższymi szkołami, bardziej bezpośrednio związanymi z życiem gospodarczym kraju.

Centralistyczny charakter ustawy z dn. 15 grudnia 1951 r. powodował w dalszej konsekwencji niedostateczne liczenie się władz centralnych z doświadczeniem i opinią naukowców. Sformułowania tej ustawy umożliwiły taki stan rzeczy, że rozstrzygnięcia, bardzo nieraz istotne, zapadały bez dostatecznego zapoznania się z opinią szerokiego ogółu naukowców i skutkiem tego zaskakiwały tę opinię lub też okazywały się w niedługim czasie błędne.

Przytoczę tu sprawę dwustopniowości studiów; b. szybko okazało się, że doprowadziła ona do zakłóceń w toku studiów i spowodowała wypuszczenie przez szkoły wyższe wielu niedostatecznie przygotowanych absolwentów, którzy nie przyniesli spodziewanego pożytku życiu gospodarczemu ani kulturalnemu kraju. Przypomnę tu również dekrety z 1954 r. o uposażeniach i o obciążeniach pracowników naukowych, które tych pracowników zaskoczyły i wywołały

(Dokończenie na str. 3)

RĘKOPIS
„De Revolutionibus...”
znadł się w Lesznie



Od naszego czytelnika Józefa Michalskiego, adwokata, zamieszkałego obecnie w Chojnicach (Pomorze) otrzymaliśmy list, w którym między innymi pisze:

„Pewnego rodzaju patriotyzm lokalny (urodziłem się w Lesznie i zdawałem tam maturę jako absolwent gimnazjum im. J. A. Komeńskiego) każe mi przesłać informację o rękopisie Kopernika dotąd — być może — nie publikowanym, a tak bardzo interesującym. Reprodukowana na zdjęciu pierwsza strona rękopisu informuje, że po śmierci Mikołaja Kopernika w 1543 roku dzieło jego „De Revolutionibus...” znajdowało się w bibliotece Jerzego Joachima Reticusa. Otrzymał je następnie w spadku jego uczeń Walenty Otho, a po jego śmierci w 1603 roku prof. Jakub Christmann z Heidelbergu. Stamtąd uzyskał rękopis Kopernika dla swej biblioteki uczonej czeski Jan Amos Komeński, który w XVII wieku przez 30 lat pracował w Lesznie, pełniąc obowiązki rektora gimnazjum. Z kolei rękopis dostał się do zbiorów rodziny Nestitów, by po II wojnie światowej przejść na własność Republiki Czechosłowackiej i powrócić do naszego kraju, jako cenny dar bratniego narodu.”

„Sądzę — pisze Józef Michalski — że ta ciekawa bądź co bądź informacja zainteresuje zwłaszcza wychowanków gimnazjum leszczyńskiego.”

Jan Stefański

ALEKSY TOŁSTOJ — współtwórca epopei radzieckiej

Niewątpliwie słusznie został Aleksy Tołstoj zaliczony do czołowych powieściopisarzy radzieckich. Co prawda, jego talent pisarski był tak bogaty i różnorodny, że stać go było nawet na wypowiadanie się w powieści fantastycznej. Jednakże dla historii literatury i — co ważniejsze — dla (także polskiego) czytelnika. A. Tołstoj pozostanie wysokiej klasy epikiem — autorem Chleba, Drogi przez mękę i Piotra I.

Nie będzie chyba dalekim od prawdy stwierdzenie, że Aleksy Tołstoj — podobnie jak jego wielki imiennik z ubiegłego wieku — upodobał sobie jako temat epoki szczególne brzemienne w wypadki, decydujące o losach nie tylko samej Rosji, ale i całej Europy. Jednakże ambicja pisarska nie pozwoliła twórcy na ograniczenie się do malowania statycznego obrazu tych epok — do mówienia o tym, jak to było w tych czasach w Rosji i świecie. Aleksy Tołstoj zaczął wnikliwie doszukiwać się jak to się stało — sięgnął do istoty i dynamiki procesu historycznego. Panowanie Piotra I, Rewolucja Październikowa zostały zatem uchwycone przez pisarza niejako w chwili dojrzewania, stawiania się tym, czym są dzisiaj w naszych oczach. I dlatego w trzech najcenniejszych utworach A. Tołstoj może wyczuć współczesny czytelnik obok nienaganej epickości narracji żywe i mocne akcenty liryczne i dramatyczne. One właśnie są nieomylną odznaką osobistego zaangażowania się pisarza w temat, który tworzonego dzieła.

Centralnym bohaterem Chleba, Drogi przez mękę i Piotra I jest człowiek. Jednakże Tołstoj — pomijając Chleba, który nasuwa specjalne trudności przy

próbie ujęcia go w kategorie systematyki literackiej — nie ulega pokusie mnożenia bez ograniczeń głównych bohaterów

Z młodej poezji
poznajskiej

Aleksander Wojciechowski

Pilot 55

Czy mgła, czy lekka bryza,
Czy fala falochronu
przyskrywa,

Pilot na wezwanie
Z portu wypływa.

Dwa czarne stożki
na maszcie,

Wiatr żagle targa i zrywa,
Pilot na posterunku,

Pilot z portu wypływa.

Aż raz
Zielona, sztormowa fala
Przeskoczy burty granicę,
Z morza na pokład wejdą
Zielone zwodnice
I pływający statek
Okryje biała grzywa.

I wtedy kapitan portu
Śląc będzie sygnał
do morza kodem:

Oddajcie
Mój
Statek
Zgubiony!

Oddajcie
Mój
Statek
Z pilotem!

(Ciąg dalszy na str. 2)



powieści. Toteż w Drodze przez mękę uwaga pisarza skupia się głównie na losach dwóch par: Daszy i Iwana, Kati i Wadima, w niedokończonych epopei — na życiu Piotra I. Nie znaczy to jednak, że Aleksy Tołstoj jest wiernym nie odstępującym ani na krok swych bohaterów, ich biografem, co nie leżało w jego zamiarach nawet — jak to stwierdziła żona pisarza — jeśli idzie o osobę władcy osiemnastowiecznej Rosji. Poprzez życie konstruowanych przez siebie bohaterów Tołstoj patrzy na dzieje społeczeństwa, podaje je skrupulatnie i często bezlitosnej analizie, w czym podobny jest do autora Wojny i pokoju, jak zresztą do każdego rasowego epika. Jednakże Aleksy Tołstoj nie potrafił nigdy ograniczać się wyłącznie do roli beznamietnego badacza-socjologa — stał ów badacz emocjonalny, zawarty zwłaszcza w Chlebie i Drodze przez mękę, który różniące też stosunek pisarza do poszczególnych bohaterów własnych utworów.

Wszystkie trzy powieści są utworami historycznymi. Jeśli jednak w Chlebie i Piotrze I historia zostaje niejako żywcem przeniesiona przez pisarza na karty książki — to nie dzieje się tak w Drodze przez mękę. W tamtych dwóch utworach bohaterami są najczęściej postacie historyczne: Lenin, Stalin, Woroszyłow, Piotr I Karol XII, August II... Na pierwszym planie Drogi przez mękę występują natomiast zwykli, szarzy ludzie, których prawdopodobieństwo i ty powość w sensie społecznym poświadcza przede wszystkim realizm wizji pisarza, a nie dokument historyczny. Wszyscy oni jednak — bohaterowie historyczni i zwykli — podobnie jak procesy dziejowe stają się, dojrzewają w oczach

(Ciąg dalszy na str. 2)



Wiktor Gosieniecki — Kościół śląski (Do artykułu na str. 2)

Bogdan Danowicz

Poznańskie teatry i poznańska publiczność

go im honoru i czołowej roli w kształtowaniu najwyższej jakości gustów i upodobań kulturalnych.

Teatrem eksperymentującym w Poznaniu w dobrym znaczeniu tego słowa jest „Teatr Satyry”. Rzecz jasna, że niemała w tym zasługa jego kierownika artystycznego Jerzego Korczaka.

Poznańska próba uszczenia największej „Zielonej gęsi” Galczyńskiego, jako warsztatowo-teatralny eksperyment nie zawiodła. Zawiodła natomiast w zetknięciu z nie przygotowaną do jej odbioru publicznością. W tym niezrozumieniu Galczyńskiego, a raczej nieporozumieniu co do właściwej interpretacji jego satyry parodiującej, dużo winy jest po stronie teatrów dramatycznych, które nie potrafiły dotąd rozbudzić w widzu szerszej wyobraźni, i co za tym idzie, wrażliwości na skrót myślenia poetyckiego.

Komedia zmysłowa i pozor-nie cyniczna A. M. Swinarskiego „Achilles i panny” jest oryginalnym uteatralizowanym utworem satyrycznym. Jej antycyzm jest zręcznym pretekstem dla swoistej filozofii autora, która streszcza się w tym, że miłość jaką by nie była jest nieodzowną daną składaną przez jednostkę na rzecz jej biologicznej nieśmiertelności.

Pomimo że Swinarski roz-nieglizował cynicznie miłość, pozbawiając ją poetyckiej ob-słonki, swawolnie igrałki pię-ciu uroczych Greczynek z wy-sypem Skiros z bohaterem trojańskim miały w sobie dużo nieodpartego uroku i poety-ckiego wdzięku.

Inscenizacja poznańska (re-żyseria Jana Perza) „Achille-sa” podkreśliła jednostronnie jaskrawą satyryczność komedii cynicznej, a szkoda, drugi jej nurt poetycko-zmysłowy, ukon-stytuowany odpowiednimi środ-kami scenicznymi mógłby pod-nieść walor teatralny komedii do rangi małej parodii Szek-spiara i byłby ciekawą orobą dyskusji ze Swinarskim.

Cała słabość bowiem jego antyfeministycznej krucjaty

polega na tym, że nie bierze w rachubę najistotniejszego czynnika kultury miłosnej, ja-kim jest sublimacja popędu płciowego u gatunku homo sapiens. Przedstawienie poznańskie miało interesującą oprawę plastyczną. Marian Stańczak ustawił w pałacu króla Likomedesa trzy wysmukłe karia-tydy, a wśród nich zawiesił symboliczne, kokieterijne wy-cięte usta kobiece. Jego kostiu-my Greczynek kusily i pach-niały ambra.

Po „Achillesie” oczekujemy z niecierpliwością nowej pre-miery „Teatru Satyry”, będzie nią arcydzieło teatru renesan-sowego, sztuka *Macchiavello* pt.: „Mandragolis” czyli „na-pój zapiadniający”.

Ze starych szpargałów

Zapraszamy do stołu!

Przypomnijmy sobie coś nie-coś o odżywianiu się na-szych przadków. „Kuchnia” w dawnych wiekach była uza-leżniona od zamożności domu. Dominowały wówczas różnego rodzaju warzywa, nabiał, ka-sze i mięsniwa. Ale wielu po-traw jeszcze nie znano.

Zagłębimy najpierw do spiżarni sławetnego kupca Sołtykiewicza (XVIII w.). Widzi-my tu 3 polcie słoniny, w skrzy-niach: 3 korce maki, 25 miarek grochu, 21 miarek kaszy. — A więc spory zapas. Jejmość mieszcza, rzadko wyruszała po zakupy, za to kupowała... hur-towo.

„TARTOFLE” — dzisiejsze kar-tofle w XVII wieku były sensa-cją. Magnaci uważali je jednak za nie-smaczne i szkodliwe dla zdrowia. W handlu znalazły się dopiero w 1739 r. Za funt kartofli można było kupić 600 jaj lub 2 funty czekolady. Do rozpowszechnienia ziemniaków przyczynił się przede wszystkim głód, który szczególnie silnie od-czuła ludność naszego kraju w 1771 r.

CUKIER przychodził do nas z Wysp Kanaryjskich, gdzie uprawia-no trzcinę cukrową. Dlatego nazy-

(Dokończenie ze str. 1)

czytelnika. Bo też człowiek — bez względu na swoje miejsce w hierarchii społecznej i dzie-jowej — nie jest nigdy u Alek-sego Tołstoja jednostką skoń-czoną, dającą się określić bez reszty schematem pojęciowym i literackim!

Niewątpliwie, słuszne jest twierdzenie, że Dasza, Iwan, Katia i Wadim z Drogi przez mękę oraz ich dużo bardziej szkiełowe odpo-wiadełki z Chleba: Iwan Gora i Agrypina — zostali potraktowani przez pisarza z dużą dozą sympatii osobistej. Jednakże ta szlachetna „tendencyjność” zupełnie nie prze-szkadza epickiemu obiektywizmo-wi, z jakim wnika A. Tołstoj w życie i myśli tych postaci, z któ-rych poglądami nie solidaryzuje się zdecydowanie. Obiektywizm nie oznacza bowiem u Tołstoja bez-ideowego zgadzania się na takich ludzi, jakimi są — pisarz nie wy-rzeka się bynajmniej krytycznego, a niekiedy nawet satyrycznego ich osądu, czyni to jednak w spo-sób artystycznie uzasadniony i u-

wypuka także w negatywnych bohaterach powieści i historii peł-nię ich własnego życia.

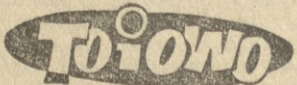
To prawdziwie epickie spoj-rzenie A. Tołstoja na przeszłość uwidacznia się może najwyraź-niej w *Piotrze I*. Pisarz — tak bardzo zaangażowany we współ-czesność — spróbował tu wnikać w życie i psychikę ludzi oddalonych odeń o blisko 200 lat — w pobudki, kierujące działalnością Cara-reformatora i jego otoczenia. Nie zacierając straszliwego obrazu społecz-ne-go i obyczajowego osiemnasto-wiecznej Rosji, Tołstoj pokazał nam w Piotrze I i jego dworza-nach ludzi nieraz małych, ale czasem ogromnych wielkością niekłamane go człowieczeństwa. W *Piotrze I* zatrzymał aut-o-r Chleba, który w krótkim, wytrzymanym artystycznie mo-mencie potrafił pokazać z poza maski postaci historycznych twarz człowieka.

Satyra i ironia A. Tołstoja biorą za to górę często tam, gdzie zarysowują się kon-flikty międzyludzkie — anta-gonizmy klasowe. Ten pisarz nigdy nie wyrwał swych bo-haterów z ich otoczenia społecz-nego, przeciwnie: starał się szkiełowane przez siebie posta-ce — jak już wspomnieliśmy — uczynić jak najbardziej repre-zentatywnymi dla pewnych śro-dowisk społecznych. W tych za-jadłach nieraz podkreślanych mo-mentach konfliktów i antago-nizmów klasowych tkwi rdzeń dramatyczności epiki Tołstoja. Akcja utworu nie toczy się zwykle spokojnie, pełno w niej spięć i dysonansów. Toteż satyryczny zgrzyt odzywa się często w eposach A. Tołstoja o Rewolucji Październikowej: w *Drodze* przez mękę i Chlebie — szczególnie, gdy idzie o ludzi pozornie bliskich ideł postępu społecznego, jak: anarchiści, mienszewicy itp. Ironiczny śmiech pisarza rozbrzmiewa rów-nież w *Piotrze I* — przywracając jak gdyby epickiej wizji przeszło-ści właściwe, światopoglądowe pro-porcje.

Ala, gdy idzie o bohaterów bliskich sercu pisarza (szcze-gólnie w *Drodze* przez mękę) — jakże często zwycięża w spoj-rzeniu na nich humor, zwa-ny przecież nieraz „uśmiechem przez łzy”. Sądzę, że właśnie to ciepło serdecznego humoru towarzyszące Iwanowi i Daszy w ich drodze przez mękę było jedną z głównych przyczyn zjednania tym postaciom lite-rackim tyłu przyjaciół. Uś-miech pisarza, rozbłyskający od czasu do czasu w opowieści pełnej wstrząsającej i sugestywnej grozy, której wiele momen-tów należy niezaprzeczenie do czasu nieludzkiego — jest tu szczególnie godny podkreślenia.

W powieściach historycznych Aleksego Tołstoja ujawnia się zatem rzetelne oponowanie pi-sarskiego rzemiosła, które pod-kreśla i uwidacznia głębię epic-kiego, humanistycznego spoj-rzenia na świat jednego z wy-bitnych powieściopisarzy XX wieku. Za te cenne wartości, które pisarz wniósł do litera-tury swojego kraju i świata — słusznie należy mu się ty-tuł współtwórcy epopei radzieckiej.

Jan STEFAŃSKI



Nowomianowany burmistrz miej-scowości włoskiej Tregano rozpo-czął swe urządowanie od statystyki. Otrzymałszy pismo zobowiązu-jące go do podania procentowej ilości zgonów za rok ubiegły, po-myślał chwilę i napisał: „Na każ-dego zmarłego, przypadał jeden wypadek śmiertelny!”

Chemik angielski R. Lessing obli-czył, że z 40 milionów ton mialu węglowego rozsypanego corocznie w kopalniach brytyjskich można by pozyskać 10 milionów ton paliwa.

Samogrające automaty w loka-lach londyńskich są w ten sposób konstruowane, że po wrzuceniu do nich określonej monety, wyła-czają się automatycznie na pewien okres, zapewniając gościowi bło-gą... ciszę!

Czterech uczonych francuskich (lekarz, operator radiowy oraz dwóch techników) zrzuconych zo-stało na spadochronach w cen-trum Grenlandii. Dokonają oni ba-dań naukowych, w ramach udziału Francji w „Międzynarodowym Ro-ku Geofizycznym”.

W jednej ze wsi niedaleko Mo-nachium, pewna krewka niewiasta przydybła zakradającego się zło-dzieja i doprowadziła go przy po-mocy drewnianego walka do stanu k. o. Gdy przywołano policję, bo-haterka zwycięskiej przepawy po-wiedziała: „Wydałoby mi się, że to mój mąż, który niekiedy wraca bardzo późno z kręgielni!”



Rok 1950. Na scenie Państw. Teatru Polskiego — „Ham-let” — Szekspira, w reżyserii Wilama Horzycey i sceno-grafii Jana Kosińskiego. Na zdjęciu: Bronisława Frej-tańska (królowa) i Zofia Rysiówna (Ofelia).

Zamieszczamy dzisiaj ostatni artykuł z cyklu: „Poznańskie teatry i poznańska publiczność”. Dwa poprzednie ukazały się w nr. 36 (16. 9.) i 37. (23. 9.) „Nowego Świata”.

Poznańskie sceny drama-tyczne nie posiadają do-tąd swego określonego oblicza artystycznego. W dal-szym ciągu teatr dramatyczny uważany jest w Poznaniu za grubo mniej atrakcyjny od Opery. Dopóki więc przeciętny widz teatralny będzie przed-kładał bilet na jakiegokolwiek przedstawienie operowe nad bilet na przykład na Szekspira do teatru dramatycznego, tak długo będzie to nieomylnym znakiem, że teatry dramatycz-ne w Poznaniu nie zdobyły właściwej sobie rangi arty-styckiej.

Nie dość jest podkreślenia jak wielką rolę społeczno-kul-turalną spełnia w środowisku poznańskim teatr dramatycz-ny, tym bardziej, że przybył mu stary i nowy jednocześnie konkurent w postaci reakty-wowanej operetki, która była niegdyś jednym z „działów artystycznych” Teatru Polskiego, bijąc na głowę w specyficznej swojej atrakcyjności u publiczności jego „działu dramatycz-ny”.

Po stokroć miał rację ten recenzent teatralny w Pozna-niu, który krytykując w 1948 roku kierownictwo Teatru Pol-skiego za wystawienie farsy *Hennequina* i *Vebera* pt.: „Co-dziennie o piątej”, napisał, że „odpowiedzialność artystyczna dzisiejszego teatru jest równa jego odpowiedzialności światopoglądowej”.

Nie grożą dziś już naszym scenom farsy tej spółki aktor-skiej, grozi im natomiast pły-cizna artystyczna w interpre-tacji wartościowych arcydzieł literatury dramatycznej. De-moralizująco wpływa na teatr oportunistyczny repertuarowy, gdy kierownictwo jego przystępuje do realizacji wypróbowanych gdzieś indziej inscenizacyjnie sztuk, rezygnując z samodziel-nych poszukiwań artystycz-nych.

Teatr dramatyczny jest pierwszą i najpopularniejszą szkołą myślenia kategoriami rzetelnej sztuki. Teatr, który nie potrafi zaszczepić widzo-wi skłonności do tego typu myślenia, by odnalazł on w jego inscenizacjach źródło do wyż-szego już rzędu przeżyć i wzruszeń, nie wart jest swego istnienia. Socjalizm stworzył możliwości do upowszechniania wśród szerokich mas ambitne-go artystycznie teatru, inspi-rującego je do tego rodzaju twórczych reakcji. Nie ma więc teatru elitarnego. Każdy dobry teatr z Moliere’em i Szek-spiere’em na czele jest czytelny, zrozumiały i artystycznie in-spirujący. Jego komunikatyw-ność zaciemnia tylko niski i zły artystycznie styl i poziom przedstawień.

Teatry poznańskie, choć w kilku swoich spektaklach otar-ty się o dno tej depresji, wy-kazują jednak niemałe wcale możliwości do ambitniejszej jakiejś ekspansji. Dewiza: „Naród sobie”, depomina się o swoje żywotne prawa w Poz-naniu. Można ją teraz zmody-

fikować w tym sensie, że ja-kość artystyczna sceny decy-duje dziś o kulturze teatralnej narodu.

Również i poznańscy scenogra-fo-wie nie grzeszili ambicjami do nowych, inspirujących insceniza-tora rozwiązań scenograficznych. Przykładem kapitulanciej posta-wy scenografa wobec niewybred-nych artystycznie inwencji insce-nizatora, były dekoracje Romana Feniuka do „Sprytniej wdówki”. Najpoprawniejszy z nich w rze-miście Zbigniew Bednarowicz prze-syłał swoje konstrukcje plastycz-ne jakimś chłodem akademickim, nie zawsze potrafił zaangażować się emocjonalnie w intencję i tekst sztuki.

Nowy dyrektor i kierownik artystyczny scen dramatycz-nych *Roman Sykała*, stoi więc przed niezwykle trudnym za-daniem przywrócenia należne-

Wiktor Gosieniecki (1876 — 1956)

Z szeregu najstarszej gwar-dii wielkopolskich artystów, śmierć zabrała niedawno jedne-go z wybitnych przedstawicieli sztuki — prof. Wiktora Gosie-nieckiego.

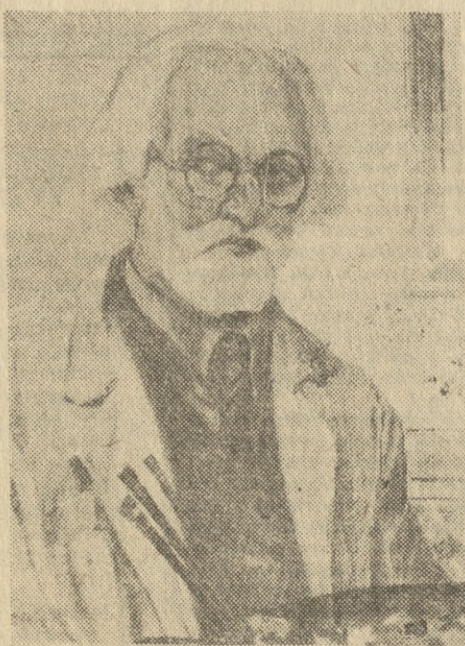
WIKTOR GOSIENIEC-

KI należał do tych entuzjastów i miłośników sztuk pięknych, którzy w latach przed pierwszą woj-ną światową, w okresie naj-większej germanizacji, pod-jęli na terenie Wielkopolski walkę o godność sztuki polskiej, o jej narodowy cha-akter.

Gosieniecki rozpoczął stu-dia w Berlinie, po czym przeniósł się do Monachium, do Szkoły Przemysłu Arty-stycznego, obierając jako specjalność malarstwo de-koracyjne i witrażownictwo. Równocześnie dokształcał się w malarstwie sztalugowym w znanej wówczas w Mo-nachium prywatnej polskiej szkole Grocholskiego. Po skończeniu tych studiów częste wyjazdy do Włoch dały mu sposobność zetknię-cia się ze znakomitymi wzora-mi malarstwa ściennego, a we Francji możliwość wglę-bienia się w trudne do opa-nowania tajniki sztuki średniowiecznego witraż-ownictwa.

Jednakże i sentyment, i silne poczucie narodowe cią-gnie go do centrum ów-czesnej polskiej sztuki — do Krakowa. Dziela dekora-cyjne Wyspiańskiego i Me-hoffera nie pozostają bez wpływu na rozwój twórczo-ści młodego artysty. Najwię-cej jednak entuzjastycznie się dzielił J. Warcha-łowskiemu, jego odkrywczy-mi badaniami nad sztuką lu-dową, jak również pasją St. Witkiewicza do sztuki podhalańskiej. W czasie dłuższego pobytu w Zako-

Wiktor Gosieniecki autoportret



panem współpracuje z nim przy wydawnictwie „*Stylu Zakopiańskiego*”.

Uzbrojony w wiedzę i entuzjazm wraca w 1905 r. do Poznania, by tutaj w szczupłym zespole koleżeń-skim rozpocząć pionierską robotę i na twardej wielko-polskiej glebie umacniać zrybny narodowej sztuki. Ra-zem z H. Jackowskim orga-nizuje „*Polichromię*”, za-kład witrażownictwa i de-koracji malarzkich. Ta pierwsza tego typu placów-ka podejmuje się wszelkiej dekoracyjnej prac w ko-ściołach wielkopolskich, do których nasz artysta wpro-wadza barwną ornamenta-cję zaczerpniętą z motywów ludowych, chcąc w ten spo-sób zaakcentować polski ich charakter.

Ówczesny Poznań może też poczynić się ambitnym wyczynem na odcinku lite-rackim. Oto w październiku 1917 r. wychodzi tu pismo artystyczno-literackie „*Zdrój*”, założone i redag-o-wane przez Jerzego Hule-wicza, malarza i literata.

Oprawa graficzna pierw-szych dwóch zeszytów utrzymana jeszcze w guście krakowskiej secesji, to dzie-ło Hulewicz i Gosieniecki go, zanim w następnych nu-merach za sprawą Kubickie-go i Wronieckiego zapanuje tu, już wszechwładnie eks-presjonizm.

Kiedy w r. 1919 nadeszła chwila wyzwolenia Gosie-niecki rzuca „*Polichromię*” i razem z inż. K. Ulatow-skim i J. Wronieckim przy-stępuje do organizacji Szkoły Zdobniczej, której dyrektorem zostaje wkrótce wybitny artysta-malarz, Fr. Pautsch. Gosieniecki obej-muje kurs dekoracji ścienn-ej i witrażownictwa.

Równocześnie rozpoczyna się praca organizacyjna wo-kół młodej, coraz to piękniej rozwijającej się — dzięki napływowi artystów z in-nych dziedzin — kolonii ar-tystycznej. Powstaje „*Świt*” — pierwsza Grupa Artystów Plastyków — a gościnny dom pp. Gosienieckich przy ul. Gajowej jest w owym czasie miejscem częstych

spotkań „Świtowców” i ma-larskiej braci Poznania, jak również z innych ośrodków Polski.

Dwudziestolecie między-wojenne — to okres pracow-tej działalności tak na terenie szkoły, jak i przy warsztacie malarzkim. Pokażna liczba absolwentów Szkoły Zdobniczej — dzisiaj już wybitnych artystów, świad-czy pochlebnie o pedago-gicznym dziele Gosienieckie-go. W zakresie osobistej twórczości wykonał szereg polichromii kościołów i pro-jektów-witraży jak np. sta-ry poklastorny kościół w Kcyni, kościół w Gołuchowie, Szamotułach, mauzole-um twórcy legionów H. Da-browskiego w Winnogórze i inne.

Sentymencjonalizm Gosienieckie-go do twórczości ludowej rozciąga się również na architekturę. Artysta wykonał 4 teki rysunków „*Zabytków Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej*” (Śląska, Pomor-ska, Wielkopolska i Dwory Wielkopolski). Nic też dziwnego, że za tę wielo-stronną działalność otrzy-mał w 1938 r. nagrodę pla-styczną miasta Poznania.

Okres okupacji — po wy-siedleniu z Poznania — spędził w Warszawie, gdzie uczył w prywatnej szkole metalowców. Kiedy kraj zo-stał oswobodzony, Gosie-niecki wraca do Poznania na swoją placówkę w Szko-le Sztuk Plastycznych. Śmierć zastała Go na po-sterunku przy pracy nad dekoracją kościoła św. Józe-fa w Tczewie. Pragnął ją za wszelką cenę dokończyć, mimo że lekarz zalecał wy-poczynek dla przemęczonego serca.

Odszedł, po długoletniej wytrwałej pracy, cichy i skromny działacz na polu artystycznej kultury, jeden z budowniczych fundamen-tów coraz to piękniej rozwi-jającej się plastyki wielko-polskiej.

Jan MROZIŃSKI

Na granicy filozofii i dowcipu

Blaznowie prawdę często żartem rzeką.

MARCIN BIELSKI (1495—1575)

Pewien Francuz powie-
dział, że rzeczą wystu-
chującą notorycznie naj-
więcej głupstw jest obraz wi-
szący w muzeum. Inny Fran-
cuz — notuje Stanisław Wi-
kiewicz w „Sztuce i krytyce u
nas” (1899) — malarz, któ-
rego pytało, czemu nie dał
na wystawę, odrzekł: „Chcia-
łem dać portret pięciofranków-
ki, ale nie miałem modelu”.

Jest to przednia próbka do-
cipu Galów. Czemu jednak no-
tuje się tak mało wypowiedzi z
życia powszedniego zarówno
sławnych artystów — Polaków,
jak i mniej znanych? Dła-
czego powtarza się tylekroć
ograne, ciete powiedzonka Wol-
tera i Shawa, Twaina i
France’a? Czy sądzić na-
leży, że zabrakłoby nam włas-
nych dobrych dowcipów do od-
grzewania w porównaniu z
konceptami Francuzów, Angli-
ków lub Amerykanów?

Nie, to jedynie ustępo-
wanie im w ŻYWYM kulcie
znakomitych ludzi sprawia, że
w prasie polskiej spotyka się
miedzy innymi więcej
anegdot zapożyczonych z ob-
cych źródeł, niż przypowieści
rdzennie sarmackich.

Nie chodzi, uchowaj Boże, o
wypowiedzenie jakiegokolwiek
wojny importowi w tej dzie-
dzinie; poczucie humoru nie
znosi przecież szowinizmu. Na-
tomiasz idzie o przyznanie
anegdotce krajowej równorzę-
dności miejsca obok obcej, o
przypominanie facecji staro-
polskich, o popularyzowanie
nieznanych historyjek na te-
mat zgasyli i żyjących ulu-
bieńców naszego ludu WZO-
REM ZAGRANICY. Idzie o
zbieranie i notowanie celných
SŁÓWEK rodzimych tref-
niśiów i krotchwilników:
Stankowskich, Kossakowskich,
Żółkowskich, Fiszorów, na pół
blaznow (?) i na pół medrców

(!). Idzie tym bardziej o opo-
wiadanie dowcipów i przy-
gód „wybitnych i zasłużonych
mężów i niewiast, miłych pa-
mięci narodowej”.

Stańczyka zrównywa ponie-
kąd z Sokratesem fakt, że obaj
nie zostawili po sobie żadnych
pism wybranych. Ale drugi
miał przynajmniej przy sobie
Platona i dzięki niemu dosta-
ło się wdzięcznej potomności
tak wiele. Ku niepowetowanej
szkodzie Lechistanu nikt jed-
nak nie notował pysznych dyk-
teryjek nadwornego komika
naszych królów, który był nie-
zwykle inteligentnym człowie-
kiem, a nie jakimś kretynem,
jak suponują niektórzy na
podstawie samego braku do-
statecznych archiwaliów.

Czyż nie uwiecznia cennej
„chwil wielkości” taka przy-
powieść o dwóch łgarzach,
przekazana przez Ambrożego
Grabowskiego w „Krótkich
przypowieściach dawnych Po-
laków” (1819):

— Nie ma większych łga-
rów w Polsce nad arcybiskupa
gnieźnieńskiego Gamrata i
biskupa krakowskiego Macie-
jowskiego — powiadał Sta-
ńczyk, słynny z dowcipu blazen
dwa Jagiellonów. — Pierwszy
wziął na uszytko: „Wiem,
wiem”, a nie wie właściwie
nic, drugi wie faktycznie wszy-
stko, lecz zapewnia rad: „Nie
wiem, doprawdy nie wiem”.

Licniejsza galeria typów i
typków z domniemanego złoto-
go wieku, barwnie utrwalaona,
mogłaby śmiało stanąć obok
pism Rabelais’a. Szkoda, że ta-
kiej nie mamy, choćby do god-
nego towarzysztwa Aretina lub
Brantôme’a. Honor Złotej Ka-
pieli od tej strony ratują akta
Rzeczypospolitej Babińskiej
o której czemuś głucho w „Bi-
bliotece Narodowej” lub „Bi-
bliotece Satyry”?

Stańczyk w czasie
balu na dworze
Zygmunta I. (JAN
MATEJKO, 1862,
Muzeum Narodowe
w Warszawie.)

Narzekańa na biurokrację,
to temat odwieczny. Pysz-
nie ja wyszydzała Katarzyna
z Potockich Kossakowska
(1720—1801), która słynęła z
bons-mots rozmieszcających ca-
ły kraj w przęgniającej do-
bie rozbiorów.

Odwiedzał ją podczas poby-
tów we Lwowie cesarz austria-
cki Józef II, jako znajomą z
Wiednia i damę „krzyża gwia-
zdstego”, ciesząc się specy-
alnymi względami cesarzowej
Marii Teresy. Składając „ostat-
niej matronie polskiej” wizytę
w Pałacu Pod Św. Jurem, pod
koniec jej życia, monarcha wy-
raził ubolewanie, że zastaje ją
pochyloną i słabą.

— To pod ciężarem biu-
rokracji austriackiej i klaniania
się lada kanceliście musiałam
się tak zgarbić — odrzekła w
sół staruszka (według L.
Siemieńskiego „Portretów li-
terackich”, 1865).

Cóż, kiedy z dowcipów po-
dawanych z ust do ust w
owych czasach niewiele więcej
doszło do współczesności.

Nie ma żadnego opowia-
nia dowcipów bez dygresji,
więc w tym miejscu — bujniej-
szy kwiat z nowożytnej łączki
biurokracji, podany przez Ta-
deusza Peipera, redaktora cza-
sopisma awangardy artystycz-
nej „Zwrotnica” (1922—27).

Czasopismo to walczyło z ciężki-
mi trudnościami finansowymi i
miało poza swymi współpracow-
nikami tylko nielicznych prenu-
matorów. Mimowolnym, lecz wy-
trwałym jego mecenasem była dy-
rekcja PKP w Radomiu, która a-
bonowała aż do upadku czasopisma
4 egzemplarze, zachęcona auto-
matycznie jego tytułem na pod-
stawie katalogu prasowego.

Osobny rozdział w dziejach
humoru polskiego zajmuje po-
wiesze czasy Alojzy Żółkowski
ski (1777—1822), największy
nasz komik XIX stulecia. Przy-
pomina go świeżo wydana mi-
ła monografia p. E. Szwan-
kowskiego. Świetny aktor
miał niezwykły talent impro-
wizatorski, lecz, jak to bywa z
ludźmi obdarzonymi swadą
oratorską, nie odznaczał się
równie wybitnymi uzdolnieniami
za, a jak Polak, to proteza”.

mi pisarskimi. Żółkowski brał
się do pisania w poczu-
ciu świadomości, że pomy-
sły jego giną, niestety w
swym „Momusie” nie dał ani
jednej przypowieści godnej
obiecującego mota z „Monacho-
machii” Krasickiego: „Śmiej-
my się z głupich, chociaż prze-
wielebnych”.

Scharakteryzujmy go kilka-
mi rubasznymi żartami, odno-
towanymi u Kazimierza Wój-
cickiego, a pominiętymi w no-
wej monografii pisarza-humo-
rysty:

„Wiecie, dlaczego rodzice
uczą córki tańcować? Żeby one
potem uczyły mężów.”

„A wiecie, czemu biedni wie-
śniacy modlą się najgorliwiej
za konie swoich dziedziców?
Bo gdyby te przypadkiem wy-
ginęły, toby panowie na nich
jeździli.”

„Nie ma diabłów, powiada-
cie? Szkoda, bo któż naszego
dzierzawcę porwie!”

„Dobrze, że ludzie pozbawia-
ją się sumienia, bo na cóż
trzymać to, co człowieka gry-
zie.”

„Będę zakonnicą i zakonnicą
być nie przestanę, mówiła pa-
nienka. Myślałby kto, że chce
wstąpić do klasztoru, gdy tym-
czasem ona kocha się w mło-
dym oficerze od ułanów i dla-
tego naturalnie jest za konni-
cą, tj. trzyma stronę konni-
cy.”

„Młodzież, chociaż najbar-
dziej demokratycznych trzy-
małaby się maksym, jednak za
orderem podwiązki wdychać
nie przestanie.”

Tacy dowcipnicy potrzebu-
ją sekretarzy i kronika-
rzy. Ziarniaki dowcipu jak z
rękawa sypał Franciszek Fi-
scher, zmarły w latach trzydzie-
stych w Warszawie, zbankruto-
wany ziemianin, ale nie ban-
krut w towarzyskości i humo-
rze. Pił kawę przeważnie z
literatami, więc niejedno z je-
go spostrzeżeń zapisano w ro-
dzaju kapitalnego aforyzmu o
Polakach: „Kiedy cudzozie-
ludźmi obdarzonymi swadą
oratorską, nie odznaczał się
równie wybitnymi uzdolnieniami
za, a jak Polak, to proteza”.

W niedoszłej jeszcze do stu-
tomów „Bibliotece Satyry” i
nie istniejącej a potrzebnej bi-
bliotece humoru polskiego i
uniwersalnego — wart specja-
lnego honorowego nagrobka.

Nareszcie dzięki Irenie Krzy-
wickiej, która dała nam „Boya
w anegdotce” w popularnym
kalendarzu „Szpilek”, uwiecz-
niła się o autorze „Stówek”
coś więcej poza tym, że opa-
trzył „Rozprawę o metodzie”
Kartezjusza opaską: *Tylko dla
dorosłych!* Nareszcie znajdują
się i inni, którzy wydzierają
niepamięci Warszawę świetla-
ną i cieniastą, obyczajową i nie-
obyczajną, zawsze interesują-
cą i kochaną. Żeby tylko pa-
miętało jeszcze więcej o tym,
co było przed dwudziestym
stuleciem, i co działo się poza
Warszawą.

Sprecyzujmy na koniec raz
jeszcze i powtórzmy: Upomi-
namy się o włączenie klasyków
naszego komizmu do piśmien-
nictwa niedawkowego, o sta-
ranniej gromadzenie i od-
świeżanie materiałów rękopi-
śmiennych w tym zakresie,
o ożywanie i urozmaicanie la-
musów literatury pięknej, o o-
ryginalność i popularizację
współczesnej anegdoty w pra-
sie. Upominamy się o skrzętne
zbieranie udatnych, znamien-
nych, mądrych, esencjonalnych
przypowieści związanych z
przodkami, żeby nie spozierali
wciąż z portretów w galeriach
narodowych chmurni i zasepie-
ni. Żebyśmy też coś o tym wie-
dzieli, jeśli odznaczali się po-
czuciem humoru.

*) Alojzy Żółkowski (Ojciec).
Napisał Eugeniusz Szwanowski.
Państwowy Instytut Wydawniczy.
Warszawa 1956. — O działalności
satyryczno-żartobliwej w „Momu-
sie” i „Pot-pourri”; „Gazetki hu-
morystyczne Żółkowskiego były
nie tylko pierwszymi pismami te-
go rodzaju w Polsce, lecz wyprze-
dziły obce pisma humorystyczne:
francuskie, niemieckie i angielskie
(słynny „Punch” zaczął wychodzić
w przeszło 20 lat po „Momusie”).

Droga otwarta — trzeba działać

(Dokończenie ze str. 1)

duże zastrzeżenia. Ustawa wpro-
wadzała wprawdzie Radę Główną
Szkołnictwa Wyższego, która miała
reprezentować opinie naukowców,
jednakże Rada Główna nie miała
wyraźnie sformułowanych upraw-
nień, a władze centralne nie mu-
siały zasięgać jej opinii.

Należy podkreślić, że w ciągu
lat ostatnich bardzo wyraźnie
urośli i okrzepły kolektyw po-
mocników naukowych w więk-
szości szkół wyższych. Wyrosła
liczna kadra pracowników nau-
kowych, szkoły wyższe włączy-
ły się w nurt gospodarczego i
kulturalnego życia kraju i co-
raz wyraźniejsza jest wielka
rola, jaką mogą i powinny one
odegrać w tym życiu.

W tej sytuacji, zwłaszcza zaś
po XX Zjeździe KPZR, wi-
doczna stała się konieczność
poczynienia głębokich zmian w
organizacji szkolnictwa wyż-
szego i nauki. Ogólnonarodowa fa-
la krytycznej dyskusji nad sy-
tuacją w naszym kraju i droga
mi jej poprawy objęła również
zagadnienia szkolnictwa wyż-
szego oraz nauki, przy czym po-
ruszone zostały i bolączki, o któ-
rych pokrótce tu w pominałem,
i inne jeszcze sprawy. Dyskusja
nad szkolnictwem wyższym nie
jest jeszcze bynajmniej zakoń-
czona, ale z jej dotychczasowe-
go przebiegu stało się jasne, że
szereg konkretnych zwłaszcza
organizacyjnych spraw dojrzał
do szybkiego rozstrzygnięcia.
Nowelizacja ustawy z dn. 15
grudnia 1951 r., która obecnie
weszła w życie, obejmuje takie
właśnie zmiany w organizacji
szkolnictwa wyższego.

Zmiany te, głęboko sięgające
w życie szkół wyższych, stano-
wią przede wszystkim duży krok
naprzód w demokratyzacji, de-
centralizacji i usamodzielnieniu
szkół wyższych. Znajdują to wy-
raz we wprowadzeniu dawnej
zasady wybieralności władz
szkół: rektorów, prorektorów,
dziekanów i przedziekanów. Wy-
bory do władz akademickich zo-
staną dokonane w ciągu paź-
dziernika br. przez ogólne zgro-
madzenia samodzielnych pra-
cowników naukowych szkół.
Nie wymagają one za-
twierdzenia przez władze cen-
tralne, które mają tylko prawo
założenia w ciągu określonego
czasu sprzeciwu, co pociąga za
sobą ponowne wybory.

Wyraźnie zostają określone
kompetencje senatów i rad wy-
działowych, przy czym rektor
czy dziekan zobowiązany jest
do zasięgania opinii tych orga-
nów w ważniejszych, wyliczo-
nych w ustawie przypadkach.
W szczególności radom wydzia-
łowym zostaje przekazana spra-
wa ustalenia szczegółowych pro-
gramów zajęć. Równocześnie
wprowadza się w życie zmiany
ramowych programów (zatwier-
dzonych przez ministra po wy-
słuchaniu opinii Rady Główn-
nej); zmiany te idą w kierunku
odciążenia studentów od obo-
wiązkowych zajęć, by zostawić
im więcej czasu na samodzielne
studia, na które przecież w
szkołach wyższych powinien
być położony największy na-
ciśk, gdyż tylko w ten sposób
szkoły te mogą wykształcić spe-
cjalistów zdolnych do samo-
dzielnego rozstrzygnięcia zagad-
nień, z jakimi zetkną się w ży-
ciu. Zmiany takie niewątpliwie
przeznaczają się do podniesienia
jakości pracy szkół wyższych.

Nowela znacznie rozszerza i
wyraźnie określa kompetencje i upra-
wnienia Rady Głównej Szkołnictwa
Wyższego, rozszerzając równocze-
śnie jej skład. Na władze central-
ne zostaje nałożony obowiązek co-
do zasięgania opinii Rady w waż-
niejszych sprawach dotyczących
szkolnictwa wyższego. Władze te
mają również obowiązek zasięga-
nia opinii szkół przy ważniejszych
postanowieniach organizacyjnych
i personalnych, dotyczących danej
szkoły.

Nowela wyraźnie zwiększa
możliwości pracy naukowej sa-
modzielnich pracowników nau-
kowych, wprowadzając możli-
wość zwolnienia pracownika
naukowego w ciągu roku na
trzy miesiące od prac organiza-
cyjnych i dydaktycznych. W o-
kres ten włączony jest sześcioty-
godniowy urlop, przysługujący
wszystkim pracownikom nau-
kowym. Podkreślić należy, że
właśnie taki czas, wolny od in-
nych obowiązków, pozwoli pra-
cownikowi nauki na wydane
zwiększenie wydajności pracy
naukowej, wymagającej z na-
tury rzeczy dużej koncentracji
uwagi.

Nowela przewiduje wprowadzenie
do senatu i do rad wydziałowych
przedstawicieli związku zawodowe-
go oraz przedstawicieli pomo-
cników naukowych; przedstawiciele
słuchaczy mają być natomiast
zapraszani wówczas, gdy
na porządku dziennym są sprawy
dotyczące młodzieży.

Równocześnie z nowelą ukazuje
się dekret wydatnie polepszający
uposażenia pracowników nauko-
wych i regulujący uposażenia pra-
cowników naukowo-technicznych
oraz administracyjnych. Zostaje
również zreorganizowany i ujednol-
icony system stypendiów.

Nowela nie wyczerpuje by-
najmniej wszystkich
zmian, jakie powinny być do-
konane w organizacji szkolnic-
twa wyższego i nauki. Nie jest
ukończona jeszcze dyskusja nad
sprawą stopni naukowych; kan-
dydata nauki i doktora nauk.
Zwłaszcza stopień kandydata
nauk wywołuje szereg krytycz-
nych uwag; sprawa nie dojrza-
ła jednak jeszcze do rozstrzyg-
nięcia. Zarysowuje się również
sprawa ewentualnego wyodrę-
bienia wyższych szkół zawodo-
wych w odróżnieniu od szkół
typu uniwersyteckiego czy polite-
chniki, ale i to zagadnienie wy-
maga dalszej dyskusji.

Uchwała Prezydium Rządu zob-
owiązuje Przewodniczącego PKPG
i Ministra Finansów do opracowania
takich zasad planowania w szko-
łach wyższych i ich finansowania,
które by uwzględniły specyfikę
tych szkół. Ustawa ta przewiduje
również powołanie w terminie do
15 listopada 1956 r. rządowej komi-
sji do zbadań i oceny celowości
rozdziału sum budżetowych prze-
znaczonych na badania naukowe
we wszystkich instytucjach resor-
towych, w szkołach wyższych i pla-
cówkach PAN — i dokonania rewizji
środków inwestycyjnych i fi-
nansowych na badania naukowe i
prace dydaktyczne w szkołach wyż-
szych i placówkach PAN. Uchwa-
ła ta przewiduje dalej zapewnienie
Polskiej Akademii Nauk i
szkolnictwu wyższemu pierwszeń-
stwa w zaopatrzeniu w aparaturę
zagraniczną i krajową oraz zapew-
nienie PAN i Ministerstwu Szko-
łnictwa Wyższego wpływu na decy-
zję w sprawie podziału aparatów
naukowych, jak również zobowią-
zuje Ministra Finansów do zapew-
nienia w preliminarzach budżeto-
wych odpowiednich kredytów na
zaspokojenie potrzeb szkolnictwa
wyższego i placówek PAN.

W najbliższych miesiącach na
stąpi opracowanie dalszych us-
taw i dekretów wcielających
w życie uchwałę Prezydium
Rządu. Dopiero pełne wpro-
wadzenie w życie tej uchwały
stworzy warunki pomyślnego
rozwoju szkolnictwa wyższego
i badań naukowych w kraju
i w ten sposób umożliwi szybszy
postęp techniczny, którego opóź-
nienie tak dotkliwie odczuwa-
my.

Szczepan SZCZENIOWSKI

O dobrej Babie Jadze i innych dziwnościach

w Teatrze
Lalki i Aktora



„Jaś i Małgosia” — Zofia Lorentz. Reżyseria — Joanna Piekarska.
scenografia — Irena Pikiel. Kukielki odwarżają: Jasia — Kry-
styna Niemczyk, Małgosia — Ewa Nawrocka, Babę Jagę — Jadwi-
ga Kobylańska

Czy widzieliście kiedy cho-
dzącą beczulkę, skaczącą
mydło lub garnek przemawia-
jący ludzkim głosem? A może
podłyszał ktoś z Was, o czym
to gwarzą zwierzęta, ptaki i
drzewa w lesie? Nie? To szko-
da. Widać bardzo daleko odesz-
liście od czasów, w których za-
cierają się granice rzeczywisto-
ści, dając upust kolorowym
snom fantazji. Tylko dzieci-
stwo bowiem jest tym niepo-
wracalnym, niestety, okresem
życia, pozwalającym wierzyć w
rzeczywistość najbardziej fan-
tastycznych baśni. Choć trze-
ba przyznać, że w Państwowym
Teatrze Lalki i Aktora w Poz-
nanu i dorośli dają się na
chwilę zaczarować przez Babę
Jagę, wchodząc bez większych
opórów w umowny świat wyo-
braźni.

Przy ogólnym głodzie progra-
mowym teatrów lalkowych
Teatr poznański wyszedł obron-
ną ręką z opresji, rozpoczynając
sezon premierą, składającą
się z bajki Jerzego Zaborow-
skiego pt. „O pieśku, co chciał
być szczotką” i sztuki Zofii Lo-
rentz — „Jaś i Małgosia”.

Sztuka Zofii Lorentz odbiega
bardzo w swej treści od utrwa-
lo-
(Ciąg dalszy na str. 4)

Chwasty na wiejskiej glebie

(Dokonczanie ze str. 1)

serwujemy ich. W świetlicy pa-
lą się lampy, przez okno widać
siedzącego przy stole świetlic-
owego. Ale jest sam. Biedzi się
właśnie nad tym, w jaki sposób
zorganizować pogadankę na te-
mat konkursu czytelniczego,
jak zwerbować do niego chęt-
nych. Zarządzenie przy-
szło jasne i przejrzyste: „W każ-
dej rodzinie czytelnik, w każ-
dej wsi zespół czytelniczy”.
Ha! Dlatego też zaledwie wesz-
ły do świetlicy, uradowany jej
kierownik przedkłada nam an-
kiety, formularze i wnioski. Na-
leży wypełnić je jak najwcześ-
niej. Jutro musi je mieć powiat,
bo województwo już groziło.
Stajemy osłupiali i chcąc unik-
nąć nieprzyjemności, wychodzi-
my.

Uliczką przechodzi grupka mło-
dzieży. Śpiewają głośno. Wy-
krzykują. Są podpieli. I wraca-
ją do gospody. Jeszcze ktoś zna-
lazi na chwastki. W świetlicy
leżą na stolikach formularze,
ankiety, wnioski... Zapada noc,
wybawicielka dla zdesperowa-

nego świetlicowego. W oknach
świetlicy gasną światła. Świe-
tlica jest martwa.

W dzień możemy odwiedzić
bibliotekę. Książka do czytania
przyciąga się. Tylko, że takiej
„do czytania” nie znajdziesz.
Nieliczne ich okazy czytali już
wszyscy, którzy chcieli z biblio-
teki skorzystać. Reszta książek
zalega półki. To remanenty ze
wszystkich wiejskich bibliotek
i księgarni, których nawet ma-
chyna przemysłowa nie przeu-
żyje. Nie dotrą do jej trybów. Ale
do rak czytelnika muszą do-
trześć! Bibliotekarka otrzymała
zarządzenie, instrukcję, formu-
larze, ankiety i wnioski. Do
wypełnienia, podpisania i wy-
syłki. Powiat Poznań i Warsza-
wa gorączkowo oczekują tych
koślawych wiejskich podpisów.
Rosną cyfry i statystyki. Roś-
nie m. i t. Nie rośnie tylko kul-
tura i oświata.

A gdyby zechcieli wyrastać?

Są cienie potężniejsze od cie-
nia kościelnej wieży, które
je pochłona: brak instrukcji,
brak środków, brak miejsca.
Chwasty są prężniejsze. Gdy
nie ma ich kto wypilić, trud-
no, same nie ustąpią. Taka ich
natura.

Potrzeba niestradszonej dłoni

Entuzjazm i pewien zasób
wiedzy mogłyby z powodzeniem
być tą dłonią, która wypłeniła-
by chwasty. Niestety, małe
środowiska mają to do siebie,
że łatwo tłumią przejawy entu-
zjazmu. Wszelka inicjatywa
wykraczająca poza ramy sche-
matu od razu zostaje osaczona
przez kontrolę biurokratyczną i
konserwatywną. Bo wiejski bio-
rokrata urzędujący, to przede
wszystkim konserwatysta. To,
czego jeszcze nie było na jego
terenach, nie stanie się za jego
„panowania”. Chyba że przy-
jdzie „zarządzenie odgórne”.
Przed takim chyli czoło i robi
wszystko, by je wprowadzić w
czyn.

I w tym właśnie, moim zda-
niem, tkwi zasadnicza trudność
w przeprowadzeniu zmian na
lepsze. Zmian, które niesie de-
centralizacja i powierzenie
spraw kultury inicjatywie te-
renu. Wiesz w „ramach” de-
centralizacji czeka raczej na nowe
„dyrektywy” i zarządzenia. Trud-
no będzie jej przyzwyczaić się
do samodzielnego myślenia i
działania. A jednak tylko w
tym można upatrywać zapo-
wiedź poprawy stanu kultury
na wsi i w małych miastecz-
kach. Powoli znika już zmora
scentralizowanej w schemat-
yczny wzór, wyglądownej w
rzędy cyfr kultury wsi. Tak
samo jednak powoli zajmuje
miejscę schematu wypracowa-
ny samodzielnie jej obraz, kon-
kretnie bliski i aktualny dla
danego terenu. Postęp w tej
dziedzinie ściśle jest związany ze
wzrostem uprawnień rad naro-
dowych. Im szybciej będzie on
następował, tym wyraźniejsze
będą widoki naprawy.

Jot.

Julian RYNOWIECKI

O dobrej Babie Jadze i innych dziwnościach

(Ciąg dalszy ze str. 3)

nej w pamięci starszych i mło-
dszych bajki Grimma pod tym sa-
mym tytułem. Jest właściwie jej
zaprzeczeniem. Dziwi to trochę.
Bo niby Baba Jaga taka sama, a jed-
nak inna. Nos ma wprawdzie dłu-
gi, twarz pomarszczoną, jednak
bije z niej nie złość, ale dobroć.
Scenograf — Irena Pikiel subtel-
nymi niuansami przeistoczyła po-
stać leśnej babki. Ale nie tylko
Baba Jaga jest inna w tej sztuce.
Nowe są postacie Jasia i Małgosi.
Przypominające bardzo swym cha-
akterem wielu Jasiów i Stasiów
oraz mnóstwo Zosiek i Małgosiek
z widowni.

Sztuka podoba się małym wi-
dzom. Bo też walory tekstu zo-
stały mocno podkreślone
przez wytrawną rękę reżysera
— Joanny Piekarskiej. Zró-
nicowane brzmienie głosu po-
szczególnych aktorów, swoista
— charakterystyczna dla każ-
dego — interpretacja tekstów
oraz celowość każdego ruchu
lalek pozwalają widzom płyn-
nie śledzić akcję rozgrywającej
się bajki.

Bardzo wychowawcza jest dy-
gresja, wprowadzająca na plan
przed trzecią odsłoną aktora —
konferansjera, który upoważ-

nia dzieci do zajęcia stanowi-
ska mediatora w ocenie postę-
powania Jasia.

Teatr lalek ma zresztą to do sie-
bie, że zarówno małego jak i du-
żego widza wciąga nawet bez za-
danej zachęty, zupełnie podświadom-
nie, do żywego udziału w akcji.
Sądze, że impuls ten wywołuje u
widzów wybitna groteskowość i
czarująca w swej naiwności umow-
ność tego teatru. Potwierdzeniem
tego spostrzeżenia jest reakcja
dzieci na bajkę „O plesku, co
chciał być szczotką”. Zarówno in-
scenizacja jak i reżyseria bajki
przyczyniły się w dużej mierze
do jej strawności scenicznej. Szu-
ka jest aktorsko trudna, gdyż o-
piera się wyłącznie na dialogu.
Dzięki jednak inwencji twórczej
reżysera wciaga małych widzów w
swą akcję, ożywioną zaiste bajko-
wą ruchliwością przedmiotów
martwych.

W sumie przedstawienie jest
udane, świadczące o dużej do-
jrzałości artystycznej poznań-
skiego Teatru Lalki i Aktora.
Mówią o tym najlepiej roze-
śmiane oczy i rozpalone buzie
małych widzów, nie mających
wcale ochoty opuszczać widow-
ni swojego ulubionego teatru

(AZ)

notatki do FELIETONÓW

Nim przeczytacie poniższe
akapity, parę słów wyja-
śnień. A więc może na samym
wstępie Czytelnicy pozwolą, że
się przedstawię. Jestem... repor-
terem. Z racji tego zawodu
jakże często pcham palce mię-
dzy drzwiami, jestem tam, gdzie
być nie powinienem, pytam o
to, o co pytać nie należy. Ta
zbyt duża ciekawość i troskli-
wość dostarcza mi bardzo dużo
szczęśliwych i faktów, które
skrętnie notuję w reporter-
skich notesach.

Właśnie leży przede
mną stos owych notatników. Były i
są one nieodłącznymi towarzy-
szami w moich wędrówkach. Po
ilu wsiach i miastach, po ilu
urzędach i biurach, fabrykach
i zakładach wędrowało się z
nimi pod rękę? W ilu było się
domach, hotelach i gospodach.
Ile słyszały one rozmów?

Lecz, cóż — do reportaży i ar-
tykułów wybiera się rzeczy naj-
lepsze, typowe, najbardziej cie-
kawo i przekonujące. Resz-
ta odpada... Jakże duża część
notatek i obserwacji nie wy-
szła poza ramy kartek tych no-
tesów. Były to... lecz nie uprę-
dzajmy faktów. Sami zobaczy-
cie, co to było.

Zaczynam wertować kartki
pierwszego z brzegu notesu.

Dialog

Wśród materiałów, które ze
brałem w czasie mej wizyty na
kolonii letniej we Wronkach,
zanotowałem taki dialog:

Jedna z wychowawczyń (mło-
da dziewczyna) stoi przed lu-
strem i przypudrowuje twarz.
Czynności tej przygląda się
stojąca z boku mała dziewczyn-
ka. W pewnej chwili mała py-
ta:

— Proszę pani, dlaczego pa-
ni pudruje twarz?

— Aby mieć piękną cerę, ład-
nie wyglądać.

— A to dlaczego pani nie
ma ładnej cery i ładnie nie
wygląda?

Apel do dziewcząt

Kibiców oraz uczestników
zawodów w... (miejscowości nie
podaję, aby nie skompromito-
wać autorów „działa”) witał
przy wejściu na stadion trans-
parent z napisem:

„DZIEWCZĘTA! WSTĘ-
PUJcie W SZEREGI LZS —
WZMOCNIJCIE SIŁĘ ŻYCIO-
WĄ NASZYCH SPORTOW-
CÓW”.

Oby nie za często! Można
stracić kondycję.

Dumne kobiety!

(z powiatowej „błyskawicy”)

Kobiety powiatu W... dumne
są ze swoich osiągnięć. W II
kwartale bieżącego roku od-
stały one do mleczarni 14
tysięcy litrów mleka więcej,
aniżeli to przewidywał ich plan.

Kobiety z innych powiatów!
Niech przykład kobiet z W. bę-
dzie dla was wzorem. Naśladowaj-
cie ten godny czyn zmierzają-
cy do podniesienia stopy ży-
ciowej naszego społeczeństwa!

„Stosunek”

(z notatnika aktywistki Ligi
Kobiet)

...A więc poinstruowałam mo-
je towarzyszyki, jakie zadanie
pełnimy, my, kobiety, w spół-
dzielni produkcyjnej. Kobiety
jednocześnie wybrały Radę,
wykazując tym samym swój
pozytywny stosunek do obec-
nej rzeczywistości.

Jest jednak w spółdzielni
produkcyjnej w Borowie pew-
ne ale...

Kobiety tej spółdzielni żałują
się na sekretarza POP, który
nie bardzo zwraca na nie uwa-
gę. Stan ten musi ulec kate-
gorycznej zmianie. Sekretarz
winien zmienić swój bezduszny
stosunek do kobiet z Borowa.

Jak możemy pomóc

Odbywając reporterską wę-
drówkę po województwie „na-
tknęłam” się w pewnej wsi na
szkolenie rolnicze chłopów.
Szkolenie prowadził prelegent
Powiatowego Zarządu Rolnic-

twy. Wygłaszał on dwa refera-
ty, których tytuły brzmiały:

1. Nasz udział w sztucznym za-
plodnianiu krów!

2. Jak możemy pomóc stacji
kopulacyjnej w sztucznym za-
plodnianiu.

Brawo polska wieś! Grunt —
to nauka!

Trzeźwy głos

W jednej z poznańskich ga-
zet ukazał się artykuł podda-
jący ostrej krytyce kierownic-
two pewnego przedsiębiorstwa,
jego pracę i politykę. W pew-
nym akapicie autor artykułu
pisał: „Opierając się na trzeź-
wym głosie ob. Zająca, można
wyciągnąć wniosek, że kiero-
wnictwo nie poświęcało wie-
le...” itd. itd.

W dniu opublikowania arty-
kułu w godzinach rannych w
redakcji zadzwonił telefon:

— Mówi dyrektor... Ja po-
lini artykułu, który opubliko-
waliście w dzisiejszej waszej
gazecie, a który dotyczy mnie,
no, i mego przedsiębiorstwa.

— Tak, słucham — wtrącił
redaktor.

— Artykuł... artykuł jest
dobry i potrzeba nam takiej
krytyki. Tylko, widząc... ma-
my do niego pewne zastrzeże-
nia. W środku artykułu pisze-
cie: „Opierając się na trzeź-
wym głosie ob. Zająca...”

— Załoga jest oburzona
tym stwierdzeniem. Jak można
tak pisać! Obywatel Zając
jest znany na terenie mojej
fabryki jako notoryczny alko-
holik. Jak więc jego głos może
być trzeźwy?

— Więcej czujności, redakto-
rze!

Jerzy KASSYAN

Historia bez słów



Wg J. Fiedorowa

WIRUS

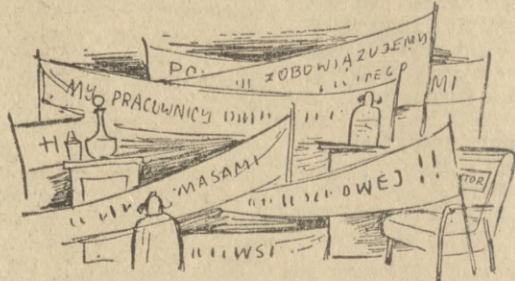
PROŚBA

(Wiersz ze smętnym finałem)

Ex-magu białych postumentów,
skand-mistrzu groźny — o czym śnisz?
Już wyinałeś się z zamętu,
już wywahałeś zbawczy wyz!

Przemebłowałeś lepetynę —
znow w niej porządek, spokój, ład,
więc możesz znowu ołsnąć czynem
otumaniony, biedny świat!

Jak ci zazdroszczę tej sprawności!
Choć cię podglądam — nie wiem nic!
Powiedz mi, proszę, tak najprościej,
jak zastosować taki pic??



Ja też chcę dzisiaj wszelkich -acji,
oddolnych krytyk, głosu mas,
lecz może czasem nie mam racji?
Poucz mnie, mistrzu, póki czas!

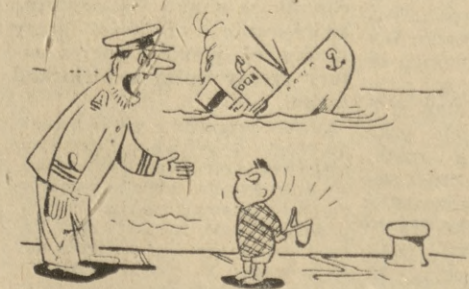
Może przeginam czasem pałę?
Może używam wrogich słów?
A może chwale cię za mało??
Mów, kochaniutki, śmiało mów!!

Ty znow z niechęcią mówisz o mnie —
znowu pojmujesz wszystko w mig —
a człowiek dalej: cicho, skromnie —
O serce moje! Pik, pik, pik...



Bez słów

Wejście do szkoły jogów
(„Le Matin”)



— Zobacz, co
narobiłeś... Od-
daj zaraz tę two-
ją procę!...

(Wg „Panorama
Holland”).